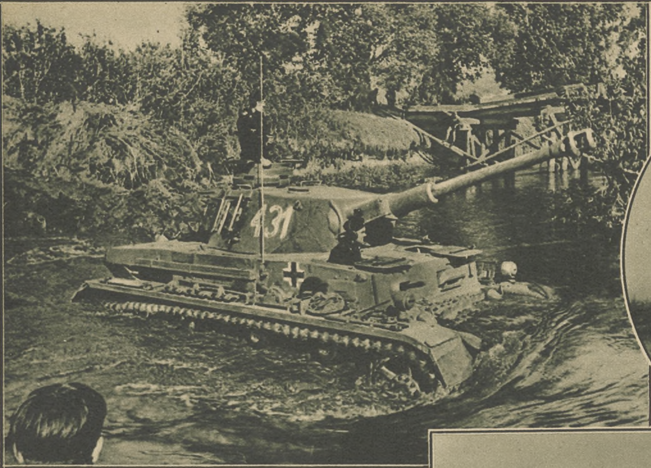
Nr. 30 Rok 4 Kraków, dnia 25 lipca 1943. 40 gr.

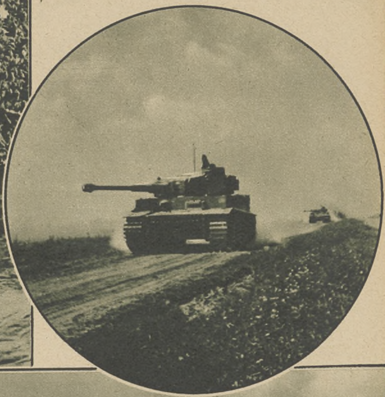
Ilustrowany KURJER POLSKI



RUMIANKI...

CIĘŻKA BROŃ NA WSCHODZIE

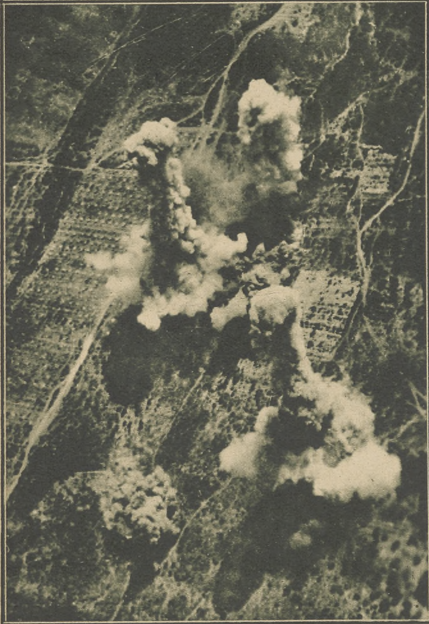




U góry: Przeprawa czołgu niemieckiego przez rzekę na wschodnich terenach walk.

W kole: Niemieckie czołgi suną na nieprzyjaciela.





U góry: Podczas bitwy pancernej czołgi niemieckie posuwają się naprzód.

Na lewo: Bomby zrzucone przez niemieckich lotników na sowieckie umocnienia, osiągnęły cel.

Na prawo: Zniszczony w walce, ciężki czołg sowiecki.

U dołu: Oddział grenadierów oczekuje na rozkaz do ataku. Na dalszym planie widzimy jak bomby lotników niemieckich atakują pozycje sowieckie.



Fot: PK Mittelstaedt, Lang-TO, Kipper, Zschäkel-PBZ, Roffensteiner-Atl, Scherl.



WOJSKA JAPOŃSKIE W BOJU





U góry: Japońska piechota maszeruje, ciągnąc swe działa.

Na prawo u góry: Ciężkie czołgi japońskie w marszu.

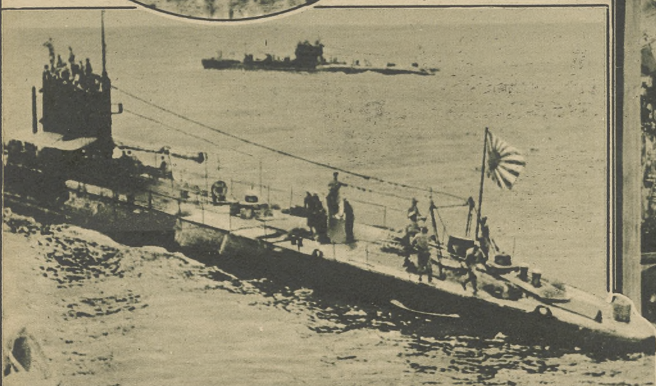


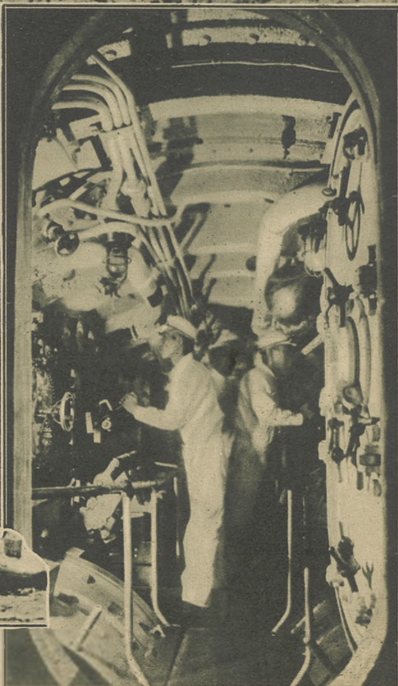


U góry: Japońska kawaleria atakuje obsadzoną przez nieprzyjaciela wieś, na terytorium chińskim.

Fot.: Transozean 6

W kole: Żołnierze należący do obrony przeciwlotniczej obserwują horyzont na jednym z lotnisk marynarki japońskiej.





U góry: Japońskie łodzie podwodne wyruszają ze swego punktu oparcia u wybrzeży południowo-wschodniej Azji, na pełne morze, w celu zaatakowania okrętów amerykańskich, wiozących zaopatrzenie.

Na prawo: Wnętrze japońskiej łodzi podwodnej, jadącej na spotkanie nieprzyjaciela.

„Macierzyństwo"



RZADKIE OKAZY W ZOO

Jednym z szeregu okazów zwierząt dziś już niestety coraz to rzadszych, należących do przedawnego świata okresu lodowcowego i okresu tundr... jest rosochaty łoś. Zachłanność i zaborczość człowieka, z każdym wiekiem ulepszająca się technika broni myśliwskiej, rozbudowanie się osiedli i ośrodków cywilizacyjnych, spowodowały wyparcie łosia na tajgę dalekiej północy, do lasów Nowego Świata (Alaska, Kanada). Bezmyślne marnowanie dóbr naturalnych w Rosji, zdziesiątkowało to piękne zwierzę... a na kontynencie europejskim pozostało tylko kilka ośrodków zamieszkiwania tego pięknego i archaicznego zwierza, na terenach Europy wschodniej i w Prusach Wschodnich, gdzie dzięki starannej opiece łosie nie tylko że nie zaginęły ale mnożą się i powiększają zwierzostan. Fotografia nasza przedstawia łoszę szczęśliwą z rzadkiego przychówku bliźniąt... zażywającą siesty w ciepłych promieniach letniego słońca.

Na prawo:

W SZUWARACH

W połowie lipca, w gąszczu szuwarów nadbrzeżnych okres swój młodociany przeżywają młode, dzikie kaczęta. W zależności od strefy geograficznej są one w tym okresie mniej lub więcej lotne i żaden szanujący się myśliwy, nie poluje w tym okresie jeszcze, na te miłe ptaki. Starki czyli kaczki dorosłe, będące matkami małych stadek podlotów całe dnie spędzają wraz z dzieciarnią ukryte w sitowiu i trzcinie... a tylko o wczesnym świtaniu i po zachodzie słońca wypływają za pożywieniem.

NA LODACH PÓŁNOCY

Na pustych skałach Antarktydy: smutnych tundrach południowej Georgii i białych lodowcach bariery Roosa rozbrzmiewa latem radosna pieśń nowego życia. W kolonii królewskich pingwinów przyszły na świat szaro-białe pisklęta. Przez długie tygodnie mama-pingwin nie opuszczała z kamyczków ułożonego gniazda, by doczekać się chwili pęknięcia skorupek.



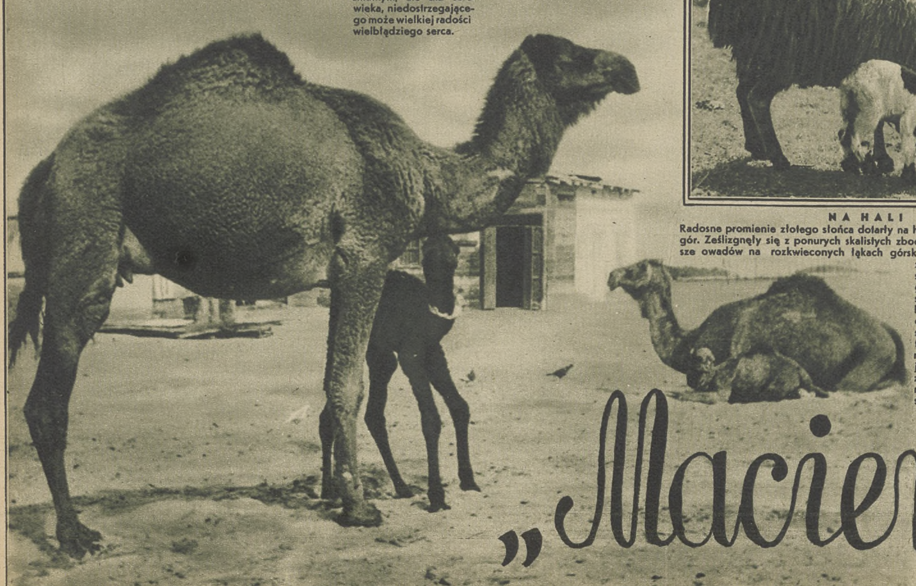
Na prawo:

GOŚĆ Z DALEKICH LĄDÓW

Herbowy ptak Australii . . . czarny łabędź jest nie lada rzadkością ogrodów zoologicznych. Równie też rzadko składa w niewoli jaja i wysiaduje młode. Toteż nie lada sensacją dla stałych bywalców zoologu był wypadek, gdy pewnego pięknego dnia na ścieżynach ogrodu ukazała się dumna łabędzica z czworgiem przychówku . . . którego ojczyzną nie była rzeka Quuinslandu, a tylko cementowany basen położony w pięknych zielnikach wielkiego miasta Starego Świata.

NA PUSTYNI

W zwycięskim pochodzie swoim ciągle odradzające się życie zakreśliło łuk przeolbrzymi. Przed chwilą oglądaliśmy sielankę z wieczystych lodowców południa. Obecnie oko obserwującego obiektywu przeniosło nas na piaski Alleppo. Cierpliwa matka dromadera z dumą spogląda na swoją sąsiadkę z tego samego stada. I ona obdarzoną została przez naturę małym ciemnym źrebiątkiem. Smutnym jest pejzaż skalisto piaskowej pustyni... smutnym, ale dla człowieka, niedostrzegającego może wielkiej radości wielbłądziego serca.





NA HALI

Radosne promienie złotego słońca dotarły na hale i w doliny bałkańskich gór. Ześlizgnęły się z ponurych skalistych zboczy, ożywiły tysiączne rzesze owadów na rozkwieconych łąkach górskich pastwisk i podglądać zaczęły sielankę owczego stada. Jak porcelanowa figurynka kopenhaska zda się wyglądać małe jagniątko. Potulnie stąpa przy matce i za jej przykładem szczypie pierwszą zieloną trawkę, która powoli stanowić zacznie uzupełnienie jadłospisu maleństwa... poza matczynym mlekiem. Ale małe jagniątko tylko na naszym obrazku jest tak potulne.





O „sławie" jednak swych maleństw wśród ludzi, nie myślą teraz obie matki na obrazkach naszych uwidocznione. Wyraz ich oczu cechuje cichy spokój, pogoda i instynktowe, najgłębsze może szczęście . . . szczęście z dania życia następnym pokoleniom swego gatunku . . .

Ta sama głębia szczęścia, która cechuje wszystkie matki świata . . .

Każąca wyrzekać się samych siebie w imię dziecka . . .

Może niekiedy bolesna nawet, nakazująca narażanie się i śmierć . . . niekiedy będąca promotorem czynów bohaterskich . . .

Ale z niczym w potędze swej nieporównana . . .

Której na imię macierzyństwo.

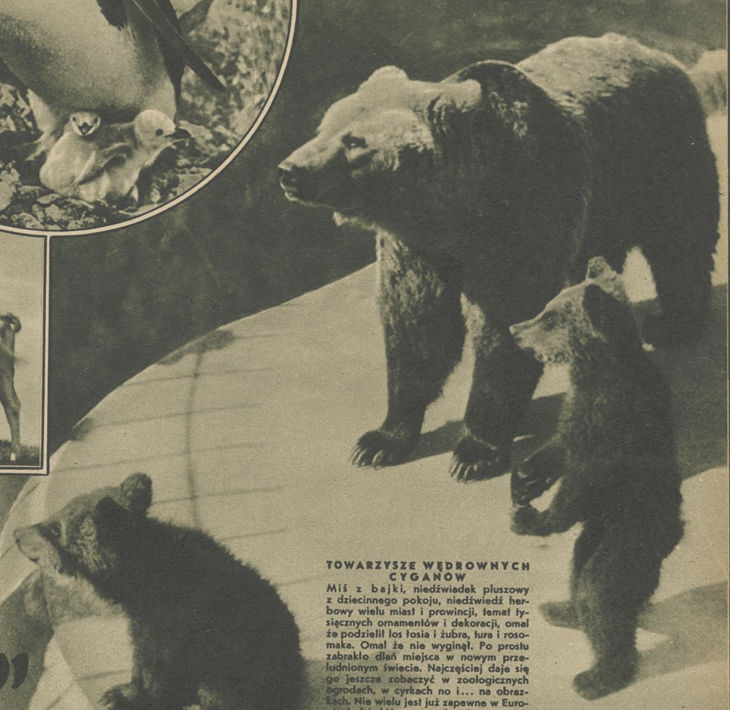
Tekst: Del
Fot: Tschira 4
Archiwum: 5





W MIEŚCIE I NA WSI

Najpopularniejszymi okazami dzieciarni zwierzęcego świata, najpopularniejszymi dla człowieka-mieszkańca miast, jest bezwątpienia małe cielątko i źrebię. Cielątko zdobyło sobie sławę przysłowiową, sławę jadłospisu i epitetu . . . a źrebię nawet wobec pań zdradzających małe zainteresowanie sportem jeździeckim stało się modne . . . jako źrebię na pokrycie płaszczy.



TOWARZYSZE WĘDROWNYCH CYGANÓW

Miś z bajki, niedźwiadek pluszowy z dziecinnego pokoju, niedźwiedź herbowy wielu miast i prowincji, temat tysięcznych ornamentów i dekoracji, omal że podzielił los łosia i żubra, tura i rosomaka. Omal że nie wyginął. Po prostu zabrakło dlań miejsca w nowym przeludnionym świecie. Najczęściej daje się go jeszcze zobaczyć w zoologicznych ogrodach, w cyrkach no i... na obrazkach. Nie wielu jest już zapewne w Europie ludzi, którzy napotkać by go mieli w kniei, a jeszcze mniej takich, którzy by się z niedźwiedziem zmierzyli na łowach. Toteż przypatrzmy się dokładnie temu obrazkowi. Niedźwiedzica powiodła po raz pierwszy swoje małe na ciepłe promienie letniego słońca. Urodziły się one już dawno w mrokach lęgowiska. Na świecie było jeszcze wtedy bardzo zimno, gdyż młode niedźwiadki rodzą się w marcu. Mądra natura jednak przewidziała i chłód i niedostatek pokarmu i kłopoty, na które narażoną by być musiała matka w tak niezasobnym w żywność okresie. Małe niedźwiedziątka rodzą się tak małe, że w noworodku nie rozpoznalibyśmy przyszłego grizli. Małe niedźwiadki przychodząc bowiem na świat są wielkości . . . małego szczeniaczka. Matka karmi je wtedy swym mlekiem . . . a z chwilą gdy zakwitnie i zazielenieje knieja, wyprowadza je, już jako małe, dobrze rozwinięte niedźwiedziątka na życiodajne promienie słońca.

GRUNT, TO — POSTAWA!...

Silniejsze wrażenie niż uroda i elegancja kobiety, wywiera na otoczenie jej zgrabność i dobre wychowanie. Elastyczne, pełne wdzięku ruchy kobiety, jej zgrabna sylwetka i uprzejme, miłe zachowanie się, decydują o jej życiowym powodzeniu. Prawdę tę ilustrują zamieszczone obok zdjęcia; dzięki interesującym przez kontrast porównaniom, widzimy na nich, ile gracji i powabu posiada młoda, współczesna kobieta, przestrzegająca prawideł „dobrego tonu", obowiązujących w życiu towarzyskim, a zarazem jesteśmy zdumieni jak niezgrabnie, nieelegancko i nieestetycznie wygląda ta sama kobieta, jeżeli nie dba w życiu codziennym o zachowanie postawy pełnej kobiecego wdzięku. Czy to w salonie, czy w kuchni, na ulicy lub w lokalu publicznym, zawsze będzie wywierała sympatyczne, miłe wrażenie kobieta taktowna, posiadająca poczucie własnej godności, o niewymuszonym zachowaniu się, a przy tym poruszająca się lekko i z wdziękiem i właśnie, kiedy się jest zupełnie samą i nikt nas nie obserwuje, nie powinno się zapominać o przepisach „Savoir vivre". Raz ze względu na ludzi, z którymi się codziennie stykamy, powtóre dobre wychowanie stanie się naszym przyzwyczajeniem i nie będziemy skrępowani w stosunkach towarzyskich.



Przy powitaniu, nie estetycznie jest, opierać się o poręcz krzesła lub ujmować pod boki.



Dla całokształtu wrażenia, jakie wywiera młoda dama najistotniejszą jest jej postawa. Nie powinna być ona zaniedbaną, lecz wdzięczną i niewymuszoną.



Nie gotuje się, ani nie zmywa naczyń w sukni wieczorowej. Jest to nie tylko kwestią dobrego tonu, lecz także podyktowane względami praktycznymi, gdyż dzięki strojowi dostosowanemu do zajęć kuchennych oszczędza się suknię.



Przy wielu zajęciach wykonywanych w kuchni wygodniej jest siedzieć. Stojąc, niepotrzebnie męczy się człowiek, a zwłaszcza jego nogi. W pozycji siedzącej idzie praca o wiele szybciej i lepiej.

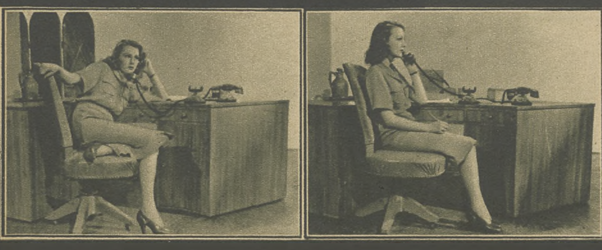
Poniżej:
Gdy idziesz do kina, nie wdziewaj wysokiego kapelusza. Osoba siedząca za tobą, na pewno poprosi cię o zdjęcie go, a może jeszcze dodać przy tej okazji jakąś złośliwą, przykrą uwagę.





Siedząc przy stole, należy bacznie uważać na poprawne zachowanie się. Nie ładnie jest opierać łokcie na stole. Również nie powinno się kłaść na nim torebek, ani żadnych paczek.

Poniżej:
Nawet w biurze można pokazać, że się jest dobrze wychowanym. Również przy telefonowaniu nie wolno o tym zapominać. Choćby nikt nie zauważył niedbałej pozycji, mimo to nie jest ona estetyczna.



Na prawo:
Również i ta poza, nie należy do estetycznych.



Z powyższych rozważań wypływa następujący wniosek: Dbaj o poprawne zachowanie się w towarzystwie ludzi obcych i zachowuj te formy w domu, a wtedy będziesz się czuła wszędzie tak swobodnie jak u siebie w domu.

Fot: Dillan, Archiw.



Ona wchodziła do nas niepostrzeżenie i cicho, jak miły sen na zmęczone oczy. I przesuwała się bezszelestnie, jak biały cień, od łóżka do łóżka, dotykając chorych macierzyńską ręką. Miała zaledwie dziewiętnaście lat, lecz w jej ruchach i drobnej postaci było coś, co naprawdę przypominało matkę. Zwaliśmy ją siostrzyczką lub po prostu: Stasią.

Stasia była tylko sanitariuszką i obsługiwała kilka szpitalnych sal. Biały fartuszek potęgował drobność dziewczęcej postaci, czyniąc ją niemal przeźroczystą. I tylko tajony dziecięcy uśmiech, ożywiał tę postać uduchowionej i jakby eterycznej dziewczyny.

Na siódmej sali, tarnopolskiego szpitala, leżały dwie kobiety: ja i Helena Chmielowa, znękana ciężką chorobą, młoda żona kolejarza z Podwołoczysk. Trawiący wnętrzności rak, nie zdołał jeszcze zmienić pięknych rysów młodej kobiety, i tylko ziemista cera oraz bladość warg, zdradzały jego wszechwładne panowanie.

Monotonne stękanie Chmielowej mąciło bezbrzeżną ciszę sali, potęgując i tak już męczącą atmosferę. Bywało nieraz, że usnie Chmielowa, wówczas salę zalegała kojąca cisza, która dla chorych, stopniowo przeradzała się w nużącą pustkę.

Wy znacie chyba niektórzy, melancholię szpitalnej sali, w niedzielne lipcowe popołudnie; kiedy życie chorego zamienia się w jedną bolesną strunę, na której wydzwania swe ociężałe kroki czas... i ten nieokreślony smutek, przykucnięty przy łóżku chorego, i tę bezkresną tęsknotę za zdrowym i pełnym życiem; gdy przez otwarte okno wdziera się odgłos ulicznego gwaru przechodni. Tak, znam to dzisiaj najlepiej . . . niemą skargę i oczy pełne łez . . . takich dużych perlistych łez . . .

Sama nie znałam dokładnie stanu mej choroby, jednak odwieczny instynkt samozachowawczy podsuwał mi promienną nadzieję szybkiego powrotu do zdrowia. Śniły mi się rodzinne strony w bujnej zieleni i kwiatach, i w jasnych blaskach wschodzącego słońca. Śnili się bracia, siostry. Niekiedy nawet zdawało mi się, że już nie należę do chorych, i że tylko Chmielowa jest biedną — bardzo biedną.

Stękanie chorej chwilami wzmagało się, gdy chwytały ją ostre bóle; twarz siniała, a ze spalonych gorączką ust, wyrywały się słowa skargi. Potem ból mijał i oblicze pokrywała bladość, jako jedyna forma reakcji na bolesną mękę; bo całe ciało leżało nieruchome, zwalone chorobą. Z wyczerpania ruszyć się nie mogła. Nawet język plątał się w ustach, gdy mówiła.

Tylko w oczach, w czarnych dużych oczach tliło życie. Niema zazdrość na widok ludzi zdrowych, przeradzała się w cichą pokorę. Piekące łzy cisnęły się do ócz, gdy patrzała na tych, którzy mogli chodzić, biegać, żyć pełnym życiem.

Dni jej życia były policzone. Beznadziejność stanu jej zdrowia czytaliśmy w spojrzeniach lekarzy. Nikt jednak nie śmiał w chorej zabijać nadziei na wyzdrowienie, ona także ją pielęgnowała i żyła nią . . .

Jak rodzoną siostrę, otoczyła Stasia chorą, szczególną opieką.

Miał ktoś rację, twierdząc, że każdy ma na tyle sił, by znieść cudze nieszczęście. W tych paru słowach kryje się nieskomplikowana prawda życiowa. Do ludzkiej biedy przyzwyczaić się łatwo; serce powoli na wrażenia stępieje, tracąc stopniowo siłę współczucia; a stękanie chorego staje się z czasem li tylko zwykłym głosem dochodzącym do ucha.

Współczucie, jakie okazywała nam Stasia, było odmienne i niewątpliwie za to wszyscy ją pokochali.

W wolnych chwilach Stasia pozostawała najdłużej na naszej sali; otwierała okna i siadała przy łóżku Chmielowej.

Wierzchołki drzew poruszały się, szeleszcząc na wysokości okien naszego piętra. W szumie tym kryła się owa tajemna rozmowa drzew, której dotychczas nie zrozumiały najbardziej trzeźwe umysły.

W przepełnioną aptecznymi zapachami salę, dochodził orzeźwiający powiew świeżego powietrza, a złote słońce przedzierając się przez gęste liście klonów, kreśliło szarymi cieniami, najróżnorodniejsze figury na woskowanej podłodze.

Pewnego razu spytałam: — Gdzie żyją twoi rodzice, Stasiu?

Odpowiedziała niechętnie i jakby gniewnie.

— Mieszkają w Tarnopolu, na Nowym Świecie. Wpierw byłam — opowiadała dalej o sobie — sanitariuszką w klinice dziecięcej, a teraz tutaj. Wieczorami uczęszczam na kurs sanitarny; sióstr-samarytanek. Nazywam się Koprowska.

Odwróciła się szybko w bok, ja zaś odczułam w tej chwili, że najwidoczniej ona mnie nie lubi.

Nigdy nie zdradzałam, że znam ją od dawna; z pobytu u moich rodziców w Bajkowcach. Zapewne nie przypominała sobie tych chwil i nigdy nie pytała skąd pochodzę. Ja jednak, obserwując ją stale, instynktownie odczuwałam nieprzyjazne nastawienie siostrzyczki do mnie. Nie śmiałam jednak poruszać tego tematu. Wprawdzie Stasia nigdy nie powiedziała mi złego słowa, ale też nigdy, nie okazywała większego współczucia dla moich skarg. Pozostałam najwidoczniej dla niej zwykłą chorą, która zdecydowanie i szybko powraca do zdrowia, więc specjalnych względów nie potrzebuje.

Teraz podchodząc do Chmielowej, Stasia uśmiechnęła się serdecznie i poprawiając kołdrę, odezwała się z ufnością i pociechą:

— Dzielnie się dziś spisujecie! Cieszę się niezmiernie, że zażywacie lekarstwa. Pozwólcie teraz, że obrócę was na drugi bok; będzie zaraz lepiej. Ot, tak, tak, — widzę, jest znacznie lepiej. Na razie tak, potem kilka kroków, i wreszcie nie obejrzymy się jak Chmielowa wybiegnie na słońce . . . I dalej na ogród, na zieloną murawę — śmiała się Stasia — na spacer! — na wycieczkę!

— Czas, by już do domu powrócić . . . Listu dotychczas żadnego nie ma — tęskniła chora; i poczęła na nowo, od początku, może już z dwudziesty raz opowiadać, czemu to jej tęskno do domu.

Wiedziałyśmy ze Stasią dokładnie z góry o czym opowiadać będzie Helena. Znałyśmy nawet słowa, jakich użyje dla określenia jedynego synka Henryka i męża Franciszka.

Pamięć chorej była również mocno nadwerężona. Nie pamiętała dzisiaj o czym mówiła wczoraj. Lub opowiadała wieczorem ponownie o tym, co my już słyszałyśmy rano. Nikt jednak, nie przerywał nigdy tej plątaniny słów.

Powtarzając po kilka razy oderwane słowa, zapominała pod koniec rozmowy o czym mówiła na początku; jednak zawsze tymi samymi wyrazami malowała obraz ukochanego jedynaka, trzechletniego synka Henryka i kochanego męża.

Gdy odjeżdżała do szpitala, Henio objął ją małymi rączętami za szyję i mówił: „Nie na długo odjeżdżasz mamo, prawda? Pojutrze wrócisz i nic więcej cię boleć nie będzie. Bo mnie tak bardzo boli i w nosku i w gardle, gdy stękasz . . . Powrócisz, prawda? Pójdziemy daleko, aż do naszej rzeczki, a ja jechać będę na koniu, na wysokim koniu! . . ."

— Trudno było się nie śmiać, gdy wszystko to takie pocieszne przy swej dziecięcej prostocie i naiwności. Tak go coś wierci w nosku . . . Któż opiekuje się nim dzisiaj? Sama nawet nie wiem . . . a może jakaś zabłąkana babunia? Sama nie wiem! . . . A może do matki oddał go Franek, bo od rana do wieczora pracuje w warsztacie kolejowym? Franek kocha mnie i ja go bardzo kocham. Jechałam tu do szpitala patrzę, w jego oczach łzy. Przykro mu było i ciężko . . . a mnie? . . . jakby słońce zakryło się chmurą, gdy wspomnę, że mu przykro. Franek niecierpliwy i nerwowy . . . jednak dba o rodzinę i kocha mnie. A Henek mówi: — Ty nie na długo odjeżdżasz mamo? Pojutrze wrócisz, bo gdy ciebie nie ma, to mnie tak bardzo w nosku boli . . .

— Nie wiem czemu tak długo Franek listu nie pisze. Nie wiem jak oni tam żyją . . . Listu nie pisze . . . Stasiu, czy wysłany ostatni list, który pisałaś?

— Wysłałam, nawet tego samego dnia wrzuciłam sama do skrzynki pocztowej. Nie martwcie się Chmielowa, na pewno wkrótce odpowiedź będzie. Zresztą, mogę raz jeszcze napisać, to mi nie sprawia żadnej trudności — pięć klas gimnazjalnych ukończyłam — z dumą powiedziała Stasia.

— Napiszemy koniecznie; tak bardzo już stęskniłam za domem. Napiszemy niech przyśle nam fotografię Henia i swoją. Napiszesz siostrzyczko? — pytająco patrzyła w twarz Stasi.

— W ostatnim liście już pisałam, by Franek przysłał fotografię. — Stasia mówiła o mężu Chmielowej jakby go znała z dawien dawna.

— Aha . . . napisała i wysłała siostrzyczka . . . To dobrze . . . Wkrótce odpowiedź przyślą. A mi tak tęskno do nich, tak bardzo pragnę popatrzeć na nich, choćby przez chwilę jednym okiem . . . Stasiu, popraw mi włosy na czole i podnieść wyżej poduszkę.

Z troskliwą starannością poprawiła Stasia poduszkę, uczesała włosy, i znowu usiadła przy chorej. Na tle białej chusteczki Stasi, nad jasnym, wysokim czołem wyraziście rysowały się ułożone w fale ciemne włosy, a grubiutki nosek sterczał na twarzy, jak u maleńkiego dziecka, jak u tego Henia, co prosił matkę, by pojutrze obowiązkowo wróciła.

Opowieść swą snuła Chmielowa dalej, a siostrzyczka robiła wrażenie, bardzo zasłuchanej . . . A przecież wiedziałyśmy już wszystko o życiu Heleny. Znałyśmy wszystkich znajomych i krewnych. Wiedziałyśmy dokładnie o tym, jak Franek pokochał ją i dwa lata z nią tańczył, zanim zdecydował się ożenić. Że ich domek stoi w cichej uliczce za torem kolejowym, że mają dwa pokoiki z kuchnią. W kuchni na starym tapczanie śpi zabłąkana babunia; błagała niegdyś Helenę, by przyjęła ją, bo żyć nie miała gdzie, a teraz to i pomoc w domu. I tak sobie żyli . . .

— Nieraz bywało . . . Franek, grywał na gitarze lub harmonii. Bywało . . . w sobotę zbiegną się znajomi, przygodną orkiestrę zbiorą i wytańczą się wszyscy aż do znużenia . . . i mały Henek także; a potem upadnie na łóżko i uśnie jak zabity. I nic więcej nie czuje. Tancerz z niego . . . wdał się w ojca! . . . A Franek taki wysoki, dorodny . . . Ja też szalenie lubię tańczyć i jestem z natury wesołą. Gdy przyjdą goście i ochoczą zabawą napełni się chata, wtedy młodzi chłopcy mnie biorą do tańca, a Franek gra i palcem grozi, a oczy błyszczą zazdrością.

Lubi, gdy płonę roznamiętniona tańcami. Z niecierpliwością czeka aż goście rozejdą się i gdy zostajemy sami, wtedy tuli mnie i całuje jakby pierwszy raz w życiu. Jak on mnie kocha, całuje . . . A Henio tancerz w ojca i matkę się wdał . . .

Z Heniem do rzeczki chodzimy. Nasza ulica wybiega na łąkę, pod górę. Dołem rosną wikliny, wąziutkie ostre liście, krajem ząbkowane . . . Szeleszczą liście na wietrze, ugina się wiklina i faluje, a Henio prosi, by wyłamać mu pręcika . . . W konika zabawia się, na sznurku mnie uwiąże, bacikiem świszcze, pogania . . . a ja biegnę, nogami przytupuję, biegnę, aż zmęczę się, potem do wody . . . i buść w rzeczkę . . . A Henio na płytkiej wodzie piasek zbiera, siada i pływa, rączętami rybki łowi. Hałasuje, gniewa się, że nieposłuszne rybki uciekają od niego. A na górze stoją dwa wiatraki, skrzydłami wymachują, a z miejsca ulecieć nie mogą. A Henio ciągle krzyczy: — Mamo, czemu one tak głupio cały dzień rękami wymachują?

Słuchając opowiadań Chmielowej zdrzemnęłam się nieco, Stasia natomiast nadal zachowała wyraz i wrażenie, mocno zainteresowanej tymi urywkami wspomnień. Siedziała schylona podparłszy rękami brodę, wykrzywiła przy tym grymaśnie, swoje naiwne, nieco za grube usta.

Po chwili jednak przypomniała sobie, że trzeba biec do innej sali; zerwała się i wyszła. Po niejakimś czasie wróciła i znowu zrobiło się w sali jakoś żywiej i raźniej.

— Czy nie ma dla mnie listu? — spytała Chmielowa, a usłyszawszy zwykłą i niezmienną odpowiedź, przymknęła oczy i długo leżała w milczeniu. Potem znowu snuła dalej swe opowiadanie:

— Na wiosnę bywało, Helenka sieje kwiaty; pod oknem, w ogródku, i na podwórzu . . . Dużo, dużo różnych kwiatów: malwy, gieorginie, piwonie, dalie, matiole, dzikie róże . . . ona lubi kwiaty. Co wieczora podlewa, każdego ranka ziemię podgartuje. A któż tam tegorocznej wiosny posadził kwiaty? Pewnie tam ziemia czernieje . . . A może tylko trawa zielenieje i dzikie wino zieloną strzałą pnie się w górę, pod dach chaty?

Chora otwarła oczy i patrzyła w okno, gdzie plamy błękitnych obłoków przedzierały się przez gęste liście. Jedna biała, niemal przeźroczysta chmurka, błądziła w wysokich błękitach, gnana powiewem wiatru. Jasny promyk słońca wdarł się przez okno i legł cicho na kwadracie parkietu, oparty o białą ścianę. Legł spokojnie i zamarł; dzieląc salę na dwie nierówne części. Ściany przybrały odcień zieleni, słoneczny promyk wniósł niepokój — wołał do siebie.

Chwytając oczyma świecący, słoneczny filar, Chmielowa umilkła. A nam zdawało się, że słyszymy nawet myśli jak tłuką się w jej głowie, wypychając jedna drugą z taką szybkością, że nawet sama Chmielowa nie może ich uchwycić.

Widocznie zapomniała już o czym opowiadała. Niewątpliwie to także na skutek choroby, tęsknoty za synem i samotności. Bo nie interesowała się zbytnio ani mną, ani Stasią. Ona była przykutą do siebie samej i swoich przeżyć.

W międzyczasie w moją świadomość wkradło się pewne bolesne spostrzeżenie; otóż Stasia traktowała mnie coraz oziębłej, a nawet surowo, w okresie, gdy miałam wypisać się już ze szpitala. Bo ilekroć narzekałam na nudy, wówczas oburzała się; chmurzyła brwi i głuchym, niskim, rozkazującym głosem, któremu nie wolno było sprzeciwiać się, mówiła:

— Nie zapominaj Hanna, że ja jestem sama, a was chorych wiele. Na mnie czekają jeszcze w innych salach.

Były to identyczne słowa lekarza, które ona często mi, w takich wypadkach, powtarzała, jej naiwność przy tym, naprawdę mnie wzruszała. Podporządkowywałam się bez szemrania swej doli i przykremu położeniu chorego i wykonawszy wszystkie jej polecenia, nigdy nie zatrzymywałam sanitariuszki przy sobie dłużej.

Natomiast skoro tylko odwróciła się ode mnie i podchodziła do Chmielowej, wtedy zmieniała nie tylko ton, lecz nawet wyraz twarzy; mówiła łagodnie, jakby ze współczuciem, cierpliwie wszystko wysłuchiwała i starała się zadowolić wszystkie kaprysy chorej.

W prostym i szczerym sercu Stasi, krył się ogrom współczucia dla ludzkich cierpień. Pokochałam ją za to gorąco mimo, że mnie jawnie nie lubiała. Dołączył się do tego jeszcze jeden charakterystyczny moment, a raczej odruch jej dobrego serca, który mnie wprost oczarował. Ta sprawa z listem poniekąd oszołomiła mnie . . . Że znalazło się tyle twórczych sił i natchnienia w malej Stasinej główce, by umilić ostatnie godziny życia Chmielowej. A było to tak:

Pewnego dnia poczuła się chora nagle gorzej i to znacznie gorzej. Ciężko stękając, starała się ochrypłym głosem coś powiedzieć.

Widzenie...

Wiem, że stoisz tuż przy mnie Maleńka,
że się śmiejesz do mnie i gaworzysz,
— a nie mogę Cię unieść na rękach,
ani dłoni na główce położyć . . .

Wiem, że patrzysz się na mnie w tej chwili,
błękitnymi z radości oczkami,
— a nie umiem się skupić na tyle;
by nauczyć się Ciebie na pamięć . . .

. . . Jesteś inna, choć niby ta sama.
I w uśmiechu Ci dzisiaj nie sprostam . . .
— Jestem dzieckiem — jak byłaś Ty dla nas,
a Ty stałaś się bardzo dorosła . . .

Bo choć świat Twój nie przerósł ogromem
kształtu cieplej, słodkomlecznej piersi —
jesteś starsza ode mnie.
O moment . . .
— O śmierć.

B. Król

lecz język odmawiał posłuszeństwa. Odwracając głowę, rzewnym spojrzeniem patrzała na mnie, na Stasię, na lekarzy, którzy teraz często przychodzili do niej. Siostra nawet dawała jej jakieś zastrzyki i zdawało się, że chorej już lżej. Lecz nie trwało to długo, bo już na trzeci dzień, zamglone i nabiegłe krwią, oczy chorej, mówiły o bólu, który targał wątłym ciałem.

Stasia objęła dyżur i najpierw weszła do naszej sali. Zobaczyła ją Chmielowa i zebrawszy wszystkie siły, szybko wymówiła:

— Jest list?

Potem po długiej przerwie dodała:

— Nie było? . . .

— Zdaje mi się, że nie ma. Jeszcze dzisiaj poczty nie rozdzielali — nieco ciszej, ale serdecznie odpowiedziała Stasia i po chwili wesoło wleciała na salę z listem w ręku. Szybkim krokiem podeszła do łóżka Chmielowej i wykrzyknęła:

— Dla was list!!!

Całym swoim jestestwem, ostatnimi siłami, poruszyła się na tę wiadomość Chmielowa i chciała się podnieść, ale choroba niemiłosiernie ubezwładniła ciało. I tylko w jej oczach, w ciemnych oczach Chmielowej było tyle niewymownego szczęścia i radości i niecierpliwego dowiedzenia się, co schowane w tej zwykłej zielonej kopercie . . .

Stasia pokazała kopertę chorej, ta spojrzała na adres i z cichą radością wymówiła:

— Franek! . . . pisał . . . przeczytaj Stasiu!

Chora poczuła się nawet nieco lepiej. Nie spuszczała ócz ze Stasi dopóki ta nie wyjęła świstka, zapisanego na jednej stronie równym pismem z zakrętasami.

Stasia otwierając arkusik, spojrzała na pierwszą linijkę i zmieniła się nagle; pilnie wpatrując się w zapisany świstek, jakby rozbierała zdania. W milczeniu poruszała ustami, i widziałam jak czysta różowa farba spływa z jej oblicza. Ona jakby zachwiała się nieco i szybko odeszła do okna, gdzie już nie mogła przypatrywać się jej twarzy chora Chmielowa.

— Ach, ileż tu napisanego, ileż treści, pismo trochę niewyraźne i nie mogę od razu wszystkiego rozebrać. Tu przy oknie jaśniej — głęboko odetchnęła.

— Czytaj! — z niecierpliwością prosiła chora ochrypłym głosem.

Stasia oparła się ciężko o ścianę, wymawiała wyraźnie każde słowo, z naprężoną uwagą wpatrując się w papierek, tkwiący w jej drżących rękach.

Również i ja z ogromnym zainteresowaniem przypatrywałam się temu i w pierwszej chwili nie mogłam zrozumieć jej zachowania się. Gdzież podział się jej spokój i opanowanie? Ona stała blada, zmarszczyła swe dziecinne czoło, składała słowo za słowem, ja zaś miałam wrażenie, wpatrując się w jej dziecinną twarz, że lada chwila, lada moment, a łzy trysną z jej ócz. Stasia czytała:

„Dobra, nasza kochana i droga Helenko!

My z Heniem tak bardzo stęskniliśmy się za tobą, czekamy na ciebie i doczekać się nie możemy. My wierzymy, i wiemy, że ty szybko wyzdrowiejesz i przyjedziesz do nas. Ty o tym nie piszesz, by przyjechać niespodzianie. By zrobić nam miłą niespodziankę. My wiemy, ty już jesteś taka . . . taka dobra i miła. A my ciebie nadal kochamy i posialiśmy bez ciebie twoje ulubione kwiaty. One już wzeszły, a grusza pod oknem jeszcze nie przekwita, i również oczekuje ciebie, zatrzymując jak najdłużej kwiaty. Henek nazywa ją „maminą gruszą" i przez cały dzień ani go nie wyciągniesz spod niej. Żebyś ty wiedziała jak ja ciebie kocham. I słońce wiosenne smutniej świeci, gdy nie ma ciebie przy nas. Codziennie wybiegamy z Heniem na drogę i wyglądamy ciebie, czy nie idziesz, bo wiemy, że tobie już znacznie lepiej i że wkrótce ucieszymy się twoim powrotem. Taką wielką wieczorynkę sprawimy. Oj, potańczymy, potańczymy . . . Wkrótce najprawdopodobniej otrzymam urlop i przyjadę do ciebie, to może sam ciebie przywiozę. I Henia zabiorę ze sobą niech Tarnopol zobaczy. Syn nasz taki mądry i dobry i chowa się dobrze, że wprost nie wiem jak ci mam za niego dziękować. Jak przyjedziesz ucałuję cię serdecznie. Moja ty kochana Helenko, pozostań zdrowa i lecz się spokojnie i beztrosko; pamiętaj, że ja kocham cię i kochać cię będę zawsze, na wieki. Z Heniem my sfotografowaliśmy się i już cały tydzień czekamy, lecz kartki nasze jeszcze nie gotowe. Fotograf powiedział, że ma dużo roboty i stale obiecuje. Tak rozgniewałem się, że nie doczekawszy się, piszę o tym do ciebie. Skoro tylko otrzymam, wyślę natychmiast. Wyzdrowiej, nie zapominaj o nas, wracaj. Całuję cię z całego serca, z całej mej miłości. Matka śle ci pozdrowienia, a Henio całuje tak jak on mówi: — osiem i sto razy. — Twój na zawsze wierny Franek."

Stasia położyła list na oknie, otarła zroszone potem czoło i wyglądała tak zmęczona, jak gdyby zajmowała się ciężką pracą. Podeszła do łóżka chorej, poprawiła coś, usta jej drgały nerwowo, a oczy zaszły mgłą łez. Ledwie dosłyszalnie przemówiła:

— Czemuż płaczecie Chmielowa? — szybkim ruchem otarła z ócz chorej łzy i machnąwszy białym fartuszkiem szybko wybiegła.

— Ze szczęścia . . . ja szczęśliwa . . . — powiedziała Chmielowa, gdy Stasia była już za drzwiami. Potem wpatrzona w sufit, powtarzała przez cały czas:

— Ja szczęśliwa . . . Franek . . . szczęśliwa . . .

Do sali wszedł dyżurny lekarz z siostrą, ujął rękę chorej i długo badał puls. Siostra włożyła termometr.

— Ja . . . szczęśliwa . . .

Lekarz nie zwrócił uwagi na słowa chorej, chociaż patrzał w jej twarz.

— Tak . . . — przemówił pełnym rezygnacji tonem — proszę otworzyć usta . . .

Chmielowa z trudem to wykonała, nawet ustrój nerwowy odmawiał posłuszeństwa.

— Proszę już zamknąć . . . Tak . . .

Lekarz nadal trzymał rękę, a chora znowu powiedziała: — ja szczęśliwa. . . .

Siostra wyjęła termometr, odczytała temperaturę i podała lekarzowi. Ten również ledwie spojrzał, strzepnął szybko i odwracając wzrok oddał termometr siostrze.

— Tak . . . grzać tak jak już poleciłem. Szybko. Jeszcze jeden zastrzyk — zwrócił się do siostry.

Odeszli, a chora nawet nie zauważyła ich nieobecności. Swymi dużymi, czarnymi oczyma patrzała błędnie w górę, i coś szeptała do siebie. Bezbrzeżny spokój ukojenia krył się w jej oczach. Ona żyła słowami, które przeczytała Stasia. Powtarzała każde z osobna, zapominając z początku i znowu odgadując.

Wstałam z łóżka i podeszłam do okna. Chora nie zwracała na mnie uwagi. Wzięłam list z okna i przeczytałam. Była to zwykła kartka z zeszytu szkolnego napisana bez nagłówka, a prosto:

„Wiem Heleno, że ciężko ci tam leżeć w szpitalu, lecz i mnie tutaj nie lekko i nie wesoło . . . Pomyślał i postanowił. Bieda jest i już . . . Widziałem się wczoraj z naszym lekarzem kolejowym Kulczyckim. On również mnie nie pocieszył . . . twoją chorobę dobrze zna i wcale mnie nie pocieszył . . . a tu i żyć samemu nijak i nie wiem jak długo przyjdzie mi być tak zabłąkanym? A do tego jeszcze nasz chłopak Henio. Niech każdy szuka sobie swego szczęścia: ja swego, a ty swego . . . Jakąś gospodynię do domu trzeba koniecznie wprowadzić — w tym nic nie poradzisz . . . jeśli wyzdrowiejesz, to wszystko się wyjaśni i ona wtedy odejdzie . . . a teraz nie gniewaj się . . . Ot takie są sprawy.

Franciszek Chmiel"

Brakło mi sił, by położyć z powrotem list i powrócić do łóżka. Nie mogłam oderwać uwagi od natchnionych szczęściem ócz Chmielowej, która szeptała nadal o swym szczęściu . . .

W tej pozycji zastała mnie Stasia. Weszła do sali szybko i niespodziewanie z czerwonymi od płaczu oczami i widząc list w moich rękach zatrzymała się i gniewnie spojrzała mi w twarz. Czułam się w tym momencie jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku.

Stasia ze zdenerwowaniem powiedziała:

— Lekarz polecił przeprowadzić cię na salę ósmą. Chodź ze mną.

Stasia wyszła razem ze mną i w korytarzu odebrała mi z rąk list.

— To bardzo nieładnie czytać cudze listy! — otworzyła salę i wskazała na stojące w kącie opróżnione łóżko.

— Tam twoje miejsce!

Nie śmiałam cokolwiek odpowiedzieć, jednak tak bardzo mnie korciło objąć serdecznie tę dziewczynę i ucałować, lecz Stasia szybko odwróciła się i znikła jak biały cień za progiem sali, w której pozostała osamotniona Chmielowa . . .

Historia jednej podróży

NOWELA FANTASTYCZNA

NAPISAŁ — T. MULTAŃSKI

Przy biurku siedziało trzech mężczyzn.

Pierwszy z nich, wysoki brunet o śniadej cerze i czarnych jak węgle oczach, to sławny inżynier Wielawa.

Andrzej Wielawa. To nazwisko od kilku miesięcy dumnie rozpościerało się na szpaltach wszystkich gazet świata. Najróżniejszymi kształtami liter śpiewało peany na cześć tego, który zrealizował najśmielsze marzenia fantastów. Dzięki niemu . . .

Drugi z nich, niższy od Wielawy, wyglądał też od niego o wiele młodziej. I był młodszy. Miał zaledwie dwadzieścia pięć lat, podczas gdy inżynier przekroczył właśnie trzydziestkę. Zbigniew Zabłocki zawsze był odważny, toteż i teraz bez wahania zgodził się uczestniczyć w tym śmiałym przedsięwzięciu. Nie miał zresztą nikogo, komu by na nim zależało.

Gorzej było z Maciejem Zachodą. Ten, mimo że już jutro mieli rozpocząć to, na co się trochę pochopnie zgodził, był właściwie wciąż jeszcze niezdecydowany. Żal mu było rozstawać się z narzeczoną — może na zawsze. Alicja sama była z początku za tym, aby jechał.

— Jesteś dziennikarzem, — mówiła, — i gdy uda się to wszystko, będziesz sławnym i bogatym. Wtedy nic nie stanie nam na przeszkodzie i będziemy mogli się pobrać.

Miała rację. Maciej jej to przyznawał, ale wolał właściwie zrezygnować ze sławy i pieniędzy, a nie rozstawać się z nią. Z drugiej strony jednak wiedział, że ślub w obecnych jego warunkach byłby co najmniej szaleństwem. Alicja była delikatna, za delikatna na to, aby jej powierzyć prowadzenie przyszłego gospodarstwa, a znów na pokojówkę, czy kucharkę nie mógłby sobie pozwolić.

— A więc panowie, — ozwał się Andrzej Wielawa, — przystępujemy do omówienia raz jeszcze ogólnie naszej jutrzejszej podróży. Wyprawa na księżyc, dotarcie tam stało się możliwe. Nie wiemy dzisiaj, czy żyją tam jakie istoty, nie wiemy w ogóle, czy jakiekolwiek życie na księżycu istnieje. Nie mniej jednak zbadanie go w obecnym stadium techniki jest zupełnie możliwe. Postanowiliśmy więc ryzykować. Nie cofniemy się na pewno i jutro opuścimy ziemię. Pan, panie Zabłocki, będzie mógł zaspokoić swoją ciekawość i gruntownie zbadać budowę księżyca, jego składniki, jego życie, jeżeli takie tam spotkamy. A pan, panie Macieju — zwrócił się z uśmiechem do Zachody — będzie mógł popuścić wodze swej fantazji i przesyłać na ziemię reportaże sensacyjne niewątpliwie, reportaże, które dotrą tutaj w torpedach specjalnie na ten cel skonstruowanych. Bierzemy ich dziesięć, dziesięć więc reportaży wyśle pan matce-ziemi.

— Nasz powrót jest zapewniony, panie inżynierze? — spytał Zachoda.

— Oczywiście! We wnętrzu naszej torpedy mamy drugą, którą powrócimy. Jest tak skonstruowana, że stara tam na księżycu będzie dla niej wyrzutnią wtedy. Przypłyniemy z powrotem, zobaczy pan.

To uspokoiło Macieja. Ostatecznie postanowił jechać.

W tej chwili służący inżyniera przyniósł list do pokoju.

— Jakaś pani chce się widzieć z panami — dodał.

W liście skreślone były słowa prośby o chwilę audiencji.

— Prosić!

Weszła . . . Alicja.

— Po co ty tu? — zdziwił się Zachoda.

— Po to, aby was nakłonić do jednej rzeczy — uśmiechnęła się. — Pojadę z wami. Musicie mi na to pozwolić. Kobieta może się wam przydać na księżycu . . .

Wreszcie zgodzono się na to.

W dalszym ciągu mówił inżynier Wielawa:

— Żywności mamy na całe trzy miesiące. Podróż nasza będzie trwała około 7—8 dni, biorąc pod uwagę szybkość naszej torpedy. Przypuszczam, że dłużej tam nie zabawimy, więcej zresztą żywności nie moglibyśmy zabrać . . . Rakieta nasza, jak panowie widzieli, ma kształt wielkiego pocisku, wypełnionego w $4/5$ części materiałem wybuchowym, mieszaniną, w której przeważa nitro-celuloza. Motor rozpocznie swą pracę bezpośrednio po wyrzucie i będzie pracował tak długo, dopóki w grę wchodzić będzie przyciąganie ziemi. Później gdy już przebędziemy strefę grawitacji ziemi i pocisk będzie znajdował się w próżnej przestrzeni, poruszanie jego odbywać się będzie na podstawie grawitacji ziemi i przyciągania słońca, ponieważ opór i żadna siła zewnętrzna prócz grawitacji słońca nie będą tam działały. Jeśliby to zawiodło, poradzimy sobie w inny sposób. Rakieta nasza posiada płetwy tak ułożone, że prąd wybuchający gazów odbijał się o nie pod ściśle określonym kątem i wprowadzał w ten sposób w ruch pocisk. To cała zasada budowy i poruszania naszej torpedy sporządzona „a la minute". Wyjaśnienie to podałem dla pani, panno Alicjo. W kabinie — dodam — będzie nam bardzo wygodnie, gdyż jest ona luksusowo urządzona, nadto podzielona na trzy części, tak że jedną odstąpimy pani. — Skłonił się w stronę Alicji.

— A więc jutro o godzinie trzeciej popołudniu wylecimy w przestworza! — zakończył po czym rozeszli się wszyscy.

*

„Dodatek nadzwyczajny. Doooodatek . . . — wrzeszczeli na całe gardło gazeciarze, uwijając się wśród tłumów. — Za dwie godziny nastąpi „odlot" profesora Wielawy i jego towarzyszy."

„W podróży na księżyc uczestniczy kobieta. Czy po to, aby zapoczątkować nowe życie na księżycu?" — dodawała złośliwie gazeta, która koniecznie swego czasu chciała „wkręcić" swojego reportera, na co się nie zgodził Wielawa.

— „Fantacje z powieści Juliusza Vernego już zrealizowane."

*

Na wielkim placu startu nieprzejrzane tłumy ludzi: morze głów, tysiące oczu . . . Megafony podają przemówienie inżyniera Wielawy.

Tam, daleko ogromne rusztowanie wyrzutni, na szczycie której przysiadł olbrzym-torpeda. Ostatnie pożegnania, potem cztery osoby wchodzą do środka.

Chwila przygotowań — potem ogromny huk, wstrząsający ziemią i — — — Pocisk mknie z szybkością 12 kilometrów na sekundę. Nie widać go.

II.

W momencie wybuchu mimo doskonałych zabezpieczeń stracili przytomność. Byli przywiązani do doskonałych krzeseł sprężynowych, siła jednak wyrzutu była ogromna.

Najpierw oprzytomniał Maciej Zachoda. W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie się znajduje. Dopiero, gdy zobaczył Alicję, inżyniera i Zabłockiego, uświadomił sobie wszystko. Więc jednak już lecą. Tak, odczuwa to, a nawet słyszy. Słyszy dokładnie. Ciągły szum, czy jęk. To powietrze ocierające się o ściany stalowej torpedy mknącej z zawrotną szybkością.

Po chwili Zachoda znów stracił przytomność. Gdy ją odzyskał napowrót, zobaczył, że oprzytomnieli także pozostali.

Nie słyszał już szumu.

— Minęliśmy już strefę powietrza? — zwrócił się z zapytaniem do inżyniera Wielawy.

— Niezupełnie. Lecimy teraz w strefie powietrza rozrzedzonego, silnie już rozrzedzonego.

Maciej rękoma, które miał wolne, odpiął pasy. Zszedł ze sprężynowego krzesła.

— Jak się czujesz, Ali — spytał Alicji, która była trochę blada. — Nie dobrze ci?

— Dobrze! — odpowiedziała wesoło. — Z tobą zawsze dobrze.

Wszyscy czuli, że jakoś lżej im się chodziło. I trudniej. Uważnie musieli stawiać krok za krokiem, aby się nie przewrócić.

— Ja zaraz zabieram się do pracy! — odezwał się znów Maciej. — Zaczynam pisać pamiętnik. Wy róbcie swoje.

Przedtem przez „szybkę" w tylnej części pokoiku Alicji wyjrzał „na świat". Nic nie zobaczył. Mleczność i nic więcej.

Potem zaczął pisać na kartkach. Odczytajmy te różne zapiski, a odtworzą nam one dokładniej całą podróż.

„Płyniemy już nie wiadomo, ile godzin. Czujemy się świetnie. Trochę boli każdego głowa, ale to kładziemy na rachunek nagłego wyruszenia z ziemi. Zjedliśmy już śniadanie. Inżynier Wielawa pilnuje wszystkiego swoim znawczym wzrokiem. Zabłocki nudzi się i ziewa. Nie chce mu się nic robić. Biedactwo! Alicja wydobywa najnowszą powieść i czyta z „zapartym oddechem".

„Aparaty dostarczające nam tlen niezbędny do oddychania, pracują w jak najlepszym porządku. My wszyscy czujemy się możliwie. Alicja nabrała rumieńców i . . . humoru, jest już znowu „pewna siebie" i z prawdziwą kokieterią kobiecą pudruje się przed lustrem.

Inżynier wciąż uważny na wszystko, śpi bardzo mało, resztę czasu spędza przy okienku, podpatruje, nadsłuchuje i bada najdrobniejsze szczegóły w mechanizmie torpedy. Jak dotąd nie ma powodu do obaw.

— Torpeda — rzekł inżynier Wielawa — posuwa się w zupełnie prawidłowym kierunku. Jesteśmy już poza strefą przyciągania ziemi w zupełnej próżni".

„W rzeczy samej. Płyniemy w zupełnej próżni. Najlepszym tego dowodem jest, że zupełnie łatwo chodzimy . . . po ścianach i suficie Jak to dobrze, że stół, krzesła, łóżka są przytwierdzone, bo inaczej to wszystko pospadałoby nam na głowy.

Trochę jest kłopotu ze spaniem. Musimy się przywiązywać do łóżek, aby nie spaść . . . na sufit, albo przyjacielowi na kark.

Do nowego „systemu chodzenia" już przyzwyczailiśmy się. Mamy wrażenie, że nic nie ważymy.

Śmiesznie wygląda, gdy ja na przykład chodzę po podłodze, a mój towarzysz Zabłocki . . . spaceruje po suficie. Nie, nie — marynarka nie spadła mu na głowę, ani nogawki spodni nie zwinęły się w harmonijki. I Alicja odważa się chodzić po ścianach.

Zegarki wszystkie zepsute. Dlatego kompletnie nie wiemy, jak długo jesteśmy w torpedzie, tym bardziej, że nie możemy określić, ile czasu byliśmy nieprzytomni. Z tej też przyczyny trudno, a raczej niemożliwe jest powiedzieć, kiedy dobijemy do celu, czyli „wylądujemy" na księżycu.

Zauważyłem, że wiele ziemskich określeń nie ma tu zastosowania. Na przykład takie „wylądujemy". Raczej „wyksiężycujemy", czy coś w tym rodzaju."

„— Zginęliśmy!!! — ten okrzyk inżyniera Wielawy obudził nas.

Poderwałem się po rozwiązaniu pasa zbyt gwałtownie, tak że trochę za bardzo stuknąłem głową w sufit.

— Co się stało?

— Ustajemy! Przyciąganie słońca coraz mniejsze. Jeżeli nie będzie żadnego przyciągania, nasza torpeda będzie zawieszona „między niebem a ziemią" a my oczywiście skazani na umarcie z głodu . . . Puszczam w ruch maszynę.

Poskutkowało. Poczuliśmy, że torpeda zwiększa szybkość. Gazy wybuchające odbijały się o płetwy pod specjalnym kątem i w ten sposób wprawiały w ruch pocisk. Było to coś w rodzaju wytwarzania sztucznego powietrza dookoła torpedy.

Jednak inżynier Wielawa jest genialny, jeśli przewidział tak dokładnie wszystko.

A muszę przyznać, że najadłem się nie lada strachu przez tę chwilę. I chyba nie tylko ja. Ale to nie przyjemność tkwić jak obraz na ścianie i nie móc spaść na ziemię."

„Tragedia. Według twierdzenia inżyniera płyniemy w innym kierunku. Przy wprawieniu w ruch maszyny torpeda zmieniła kierunek. Nieznacznie wprawdzie, ale przy takiej odległości różnica będzie wielka i nie jest wykluczone, że miniemy cel naszej podróży — księżyc.

— Nie można nakierować na właściwą drogę naszego „korabu"? — spytał Zabłocki.

— Niestety. Stery nawaliły.

— Psiakrew! — zaklął. — I co teraz? Wylądujemy na jakiej „bezludnej wyspie".

— Jakby księżyc miał być „ludny" — roześmiałem się. — Swoją drogą tragedia z tymi sterami.

— Tak, tragedia — potwierdził poważnie Wielawa. — Możemy lada chwila najechać na jakąś planetę i rozbić się „w puch". A że jedziemy w „strefie" — że się tak wyrażę — planet, wiem z tego, że jednak spotyka nasza torpeda powietrze. Rozrzedzone mocno, ale zawsze. I to jest także główną przyczyną częstych aczkolwiek nieznacznych zmian kierunku jazdy. Musimy zatem na zmianę dyżurować przy tym okienku sporządzonym z silnie powiększających szkieł. Jeżeli zauważymy jakąś plamkę choćby na tym maleńkim okienku, wiedzmy, że przed nami planeta. Wtedy natychmiast wstrzymać działanie maszyny i naciśnięciem tej dźwigni roztworzyć ogromny spadochron oraz poprzeczne skrzydła, które będą wstrzy-

---

SZKICE WARSZAWSKIE



Rys.: Set. Tekst: A. Mur.

— Czy będzie jutro słońce?

— Chyba nie! Przecież jutro niedziela, no, a poza tym wie pan, że z pogodą to tak jak z kobietą. Same kaprysy i nigdy nie wiadomo, co będzie za chwilę.

— Tak, to prawda, ale zakładając, że jutro będzie pogoda, gdzie spotkamy się?

— Na okręcie.

Wprawdzie „okręt" jest zwykłym wiślanym statkiem i stoi w miejscu, gdyż jest zakotwiczony, ale ma pokład, komin, mostek kapitański . . . i najważniejsze bar. Jeśli jest pogoda, to pokład topi się w promieniach słonecznych. Można się opalać, grać i tańczyć. Czegóż więcej potrzeba do wypoczynku?! Najważniejsze, iż statek zakotwiczony jest prawie w centrum miasta i że Wisła śle ożywczy zapach wody.

— Woda! Woda sodowa i lody!

Przyzwyczajony do widoku nimf w kusych kostiumach lodziarz napełnia tutki wprawnie i szybko. Nie wszyscy jednak są tak zniecierpliwieni na wdzięki kobiece. Sprawdźmy, czemu ten pan tak intensywnie przygląda się przez wydłubaną w deskach płotu dziurkę.

Płot, jak zwykle wszystkie płoty, ma wiele takich dziurek. W tym jednak wypadku nie są one wynikiem działania przyrody. Tutaj pracował scyzoryk. Zajrzyjmy i my.

Pagórki, wszędzie pagórki. Krągłe, spłaszczone, młodzieńczo wzniosłe. Niektóre kończą się czerwonawym stożkiem, inne umiejscowione pół metra niżej z odwrotnej strony . . . po prostu pagórki. Wszystkie jednak mają jedną wspólną cechę. Są brązowe. Brązowe opalenizną słońca. Złudzenie czy rzeczywistość?! Rezerwat raju, czy kolonia nudystek? Trochę jedno i trochę drugie. Może być raj, bo bez listków figowych i fig — kolonia nudystek — częściowo, solarium kobiece.

Wygrzewają się w słońcu, spacerują pod płotem i . . . nie zwracają uwagi na dziurki w płocie. Oczywiście te zgrabne i młode. Kobieta jest zawsze kobietą.

Dalej ciągnie się zwykła plaża. Nie chcę być złośliwy, jednak odważę się stwierdzić,





że tutaj przychodzą ludzie odważni i szczerzy. Dlaczego? Po prostu nie oddzielają się według przynależności do płci. Mieszane towarzystwo. I też są rozebrani. Przecież to plaża. Po to się tu przychodzi. I tu jak w solarium, z tą tylko różnicą, że nie przez dziurkę w płocie, można podziwiać . . . kobiety. Ale przepraszam! Oczywiście, że i panie są w kostiumach kąpielowych. Złudzenie solarium wywołuje widoczna i daleko posunięta oszczędność materiału. Ewy, dużo Ew w namiastkach listków figowych.

— Bijesz damę?!

— A na co będę czekał, na tramwaj?!

— Kobiety nawet kwiatem . . .

— Zrobiłem pięć pik z kontrą!

— Ślicznie Edku, bo ja muszę do wody . . .

— Aha, widzę, ten brunet także już musiał do wody.

Panna nie zważa na przycinki. Wygrzebuje się spod olbrzymiego parasola i biegnie w bystre nurty Wisły, której głębia nie przekracza w tej chwili dwudziestu centymetrów.

Park. Ławeczka. On i Ona. Początkowo na przeciwnych krańcach ławki, ze źle udawanym zainteresowaniem książkami. Potem bliżej i zupełnie blisko siebie.

Czyż można nie kochać w taki piękny letni dzień?! Wszystko wokoło tchnie bujnym życiem. Ptaki śpiewają pieśń miłości. Zefirek kołysze gałęzie drzew do drzemki poobiedniej. Przyroda uzupełnia się, wskazując drogę wzajemnej miłości.

— Kochasz mnie?

Dziwicie się, że tak długo nie słychać odpowiedzi? A czy można mówić, gdy usta złączone są w długim pocałunku? Rozumiemy się.

Słońce ściele swe promienie po chodnikach, wybiela je. Rozzłaca piaski nadwiślańskie i opala i rozpromienia twarze ludzkie. Oczy błyszczą nowym blaskiem, dłonie łączą się w uścisku. Warszawa w słońcu . . .



mywać pęd. Następnie puścić w ruch śmigło torpedy; będzie ono silnie wstrzymywać pocisk. Wszyscy pozostali muszą dla ostrożności „poprzywiązywać się do krzeseł".

„Dyżury mamy na zmianę. Nerwy w ciągłym napreżeniu. Minęliśmy księżyc. Lada chwila chyba zmuszeni będziemy zatrzymać torpedę".

„Wstrzymujemy torpedę!!! Dobijamy do celu!!"

III.

Rozkrzyczały się „Dodatki Nadzwyczajne" wszystkich dzienników w kraju tytułami sensacyjnych artykułów, które miały ukazać się w najbliższych wydaniach.

Od trzech dni wszyscy byli już podnieceni. Wiadomem było powszechnie wszystkim o pocisku, który spadł w okolicach jakiegoś miasteczka. Spadł dosłownie „z księżyca", jak wszyscy mniemali.

Zarył się na głębokość kilkunastu metrów i dzięki tylko przypadkowi zauważono go i przystąpiono do odkopania. A tymczasem snuto najróżniejsze przypuszczenia.

Nie ulegało wątpliwości, że członkowie ekspedycji dotarli na miejsce i . . . co najważniejsze żyją, o ile dają znak o sobie.

Redakcja „Dziennika nowości", która wysłała swego reportera Macieja Zachodę zachłystała się po prostu w chełpliwości i w artykułach śpiewających hymny o swoim reporterze. Przez ten czas wywlekała na światło dzienne jego stare artykuły, przypominała go gwałtem czytelnikom i zapowiadała nie lada sensację nastąpić mającą po odkopaniu pocisku.

„Czy wyruszy następna ekspedycja na księżyc?"

„Reporter Michał Zachoda nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. Przede wszystkim pomyślał o naszych czytelnikach, aby im dostarczyć pierwszych wiadomości z niebezpiecznej podróży".

W napreżeniu czekali wszyscy na rozwiązanie zagadki.

Wreszcie ukazał się numer „Dziennika nowości", zapełniony cały doniesieniami Macieja Zachody. Wyjmujemy najważniejsze rozdziały. (Opuszczając część opisującą samą podróż na księżyc).

„Docieraliśmy do jakiejś planety. Nie mieliśmy pojęcia, czy „wylądujemy" na niej żywi w każdym razie przedsiębraliśmy najbardziej posunięte ostrożności, nie zaniedbaliśmy niczego, aby wylądowanie nabrało cech możliwości.

Po rozwarciu spadochronu i uruchomieniu śmigła umieszczonego w tyle pocisku, uczuliśmy, że rakieta zwalnia wyraźnie. Płynęliśmy już powoli w dół.

Wszyscy jesteśmy podenerwowani. Alicja zbladła. Siedzimy na krzesłach sprężynowych poprzywiązywani i czekamy, co dalej stanie się z nami.

Czy na nieznanej planecie napotkamy na warunki, umożliwiające nam życie? I czy w ogóle napotkamy na niej na jakiekolwiek życie?

— Jeszcze siedem, osiem kilometrów! — odezwał się w pewnej chwili inżynier Wielawa, który siedział przy „okienku" i cały czas pilnie wypatrywał przez nie.

Potem znów nastała cisza, naprężona cisza. Słyszeliśmy bicie własnych serc. W obliczu końca podróży poczuliśmy wyraźnie zmęczenie. Tak — nasze trudy ostatnich dni były naprawdę wielkie — teraz dopiero to oceniliśmy.

— Ziemia! — Krzyk ten brzmiał jakoś dziwnie w ciszy kabiny.

Czyżbyśmy zrobili tylko krąg w przestworzach i z powrotem wylądowali na ziemię? Nie, ta możliwość odpadała. Więc... więc... planeta ta musiała mieć podobną budowę naszej.

Wzbudziła się w naszych sercach nadzieja. Więc o ile budowa jej podobna jest naszej ziemi, to chyba warunki klimatyczne będą te same.

Ale już w następnej chwili usłyszeliśmy głos Wielawy:

— To skały. Ostre, sterczące skały. Przerażają mnie swoją nagością. Więc to nie ziemia.

Więc to nie ziemia!!!

Goniliśmy resztkami sił. Alicja straciła przytomność. Do planety mieliśmy jeszcze najwyżej kilometr. Rozróżnić już było można „krajobraz": nagość skał na nieograniczonej przestrzeni. Nic więcej.

Rakieta wolno posuwała się naprzód, a raczej leciała na dół. Rozbicie nam nie groziło w żadnym wypadku.

Wiedzieliśmy, że w niej potrafimy wytrzymać w najgorszym wypadku jeszcze tydzień, dwa, dopóki starczy tlenu w zbiornikach, jeśli jednak nie napotkamy na warunki sprzyjające, co zrobimy?

Nie czas jednak było zastanawiać się nad tym teraz.

Od godziny już jesteśmy na skałach. Jakoś nie możemy odważyć się na to, aby opuścić naszą duszną kabinę. Przez okienko obserwujemy, że nigdzie śladu życia, to nas więc wstrzymuje od wyjścia z rakiety.

Pierwszy decyduje się na to inżynier Wielawa. Zabezpieczamy główną kabinę. I ja decyduję się iść z nim. Oczywiście Alicja jest uparta i twierdzi, że mnie samego nie puści. Więc też pójdzie z nami. Ostatni przyłącza się Zabłocki. Wszyscy stoimy przy drzwiach. — — — Za chwilę znajdziemy się na zewnątrz naszej rakiety."

Co będzie dalej? Na tym „Dziennik nowości" urwał reportaż w porannym wydaniu. Ciąg dalszy wieczorem.

Rozgorączkowane umysły czekają z największą niecierpliwością na „ciąg dalszy". Telefony z wszystkich stron zasypują redakcję „Dziennika" pytaniami, na które udziela się jednej odpowiedzi:

— W wydaniu wieczornym!

„Już wiemy wszystko. Słaniamy się na nogach z gorąca. Nad nami potwornie rozpościera się wielka tarcza słońca. Praży niemiłosiernie.

Nie! tu żadne życie istnieć nie może! Temperatura dochodzi do sześćdziesięciu stopni. Czujemy, że nasze siły wyczerpują się. Nie mamy sił wejść z powrotem do wnętrza rakiety. Ja, nie wiedząc, co robię, wyciągam kartki papieru i piszę. Piszę do was ostatnie słowa.

Chcieliśmy wyrwać tajemnicę wszechświata, tymczasem znajdziemy grób tam, gdzieś daleko w przestworzach, oddaleni o setki tysięcy km od matki ziemi.

Ostatni raz wybucha energia u inżyniera Wielawy. Resztkami sił wchodzi do kabiny. Po chwili wraca — postawił wyrzutnię z pociskiem.

Rozumiem! Chce przesłać ostatnie pozdrowienie ziemi od nas. Za chwilę zwinę plik papierów, aby je posłać wam . . .

Nie ma dla nas ratunku. Aby rozpocząć podróż zwrotną, potrzeba trzech dni pracy co najmniej na to, aby uczynić naszą rakietę wyrzutnią. A na to nie mamy siły. Nie mamy sił!

Patrzymy na siebie w niemej rozpaczy . . .

Biedna Alicja! Czemu nasze życie w ten sposób musi się skończyć?

Zabłocki zemdlał! Cały spocony leży obok wyciągnięty na skale.

Alicja trzyma się resztkami sił na nogach.

— — — — — — — — — — — — — — —

Żegnaj matko-ziemio!!!

— — — — — — — — — — — — — — —

Samolot! Krąży długo nad naszymi głowami!!! Halucynacja! Tak to może być tylko halucynacja!!!! Inżynier Wielawa stoi przy wyrzutni. Pocisk otwarty. Wkładam swój ostatni reportaż. Czy odnajdzie on opuszczoną przez nas ziemię?"

Marzenie...

— Masz oczy błękitne, przejrzyste niby blaski kryształów na tle czarnego atłasu . . . Gdy szepczesz pachnące, podobne spadającym płatkom lilii — białe słowa — na duszę moją znękaną, znużoną bezwładem bólu spływają tchnienia rozełnień kolorowych, rozświetlających mroki cierpienia tęczowymi akordami . . .

Pachniesz niewysłowionym urokiem . . . Także w momentach bezwładu — Twa dłoń wiotka, gładząca płonące żarem moje oczy — blaski klejnotów pastelowych wlapia w mózg mój, niby czarowne feerie.

A cisza aksamitna snuła się brzmieniami srebrnostrunnych harf pośród zmroczonych, deszczowych wieczorów.

— Zaś w Twoich zdaniach — usłanych promieniami dobra — dźwięczą zawsze nuty najczystszych uniesień, kwilnących brzaskami różanych zórz.

I w chwilach walki, kiedy dusza rozterki pełna, miota się między Bogiem a Szatanem, gdy czerń bezdennej melancholii drąży czaszkę ostrzami rozpaczy — Twe drżące światłami gwiazd — KOCHAM — jest mi najcudowniejszą ekstazą. Wtedy otulam Cię jakąś odcieleśnioną, miękką tęsknotą, z natchnienia której kształtuję się później najkunsztowniejsze strofy.

Właśnie wzorzysty zachód rozlewał na horyzoncie tale barw, i liliowymi wstęgami malował krzyże kościelne jak zespoleni pełnią wzlotów — pełzyli w atłasowe bezgranice granatowego nieba.

— Opowiem Ci teraz baśń błękitną — jego twarz blada, napiętnowana stygmatem udręki spoczęła na jej ramieniu . . . No czoło spłynęły złociste kaskady splotów.

— Dawno! Byłaś wtedy królewną zwiewnych motyli tańczących wśród pozłacanych słońcem szkarłatnych kwietnych płatków. Pląsałaś ponad modremi taflami jezior, splatając nitki barwnego słońca w przecudne wiańce.

Twój głos dźwięczny, melodyjny dzwonił po polach i łąkach, wnikał w czeluści ciemne borów, rozbrzmiewał nad szczytami olśnionych białą jaskrawością śniegu turni.

A ja byłem pastuszkiem — grywałem na fujarce wydrążonej z łoziny smętne, rzewne melodie. Ty zaś w rytm mych pieśni snułaś pląs lekki, nucąc przy tym prześlicznie.

Żyliśmy tak długo i szczęśliwie. Aż potem nadeszła jesień, pola, łąki, góry otuliły szare smugi deszczu. Martwa, pusta cisza zaległa nad ziemią. Wówczas Tyś znikła . . .

Błądziłem więc pośród ugorzysk i ściernisk coraz to smutniejsze wygrywając pieśni.

W końcu przeminęła zima mroźna, brylantowa — a ja wtedy powędrowałem w głuchą krainę turni. I znów wypełniałem urwiska i przepaści swą bolesną tęsknotą.

Aż dnia pewnego, kiedy stałem nad bezdnią jeziora, wsłuchując się w dźwięki dolatujące z jego toni — ujrzałem oczyma duszy skryty wśród poszarpanych zwalisk górskich, mieniący fiołkowo-szkarłatnymi refleksami szklanny pałac. Długa i ciężka prowadziła doń droga. Gdy zaś wstąpiłem do wnętrza, w wspaniałej z lustrzanych szyb wykładanej sali — ujrzałem Ciebie.

Wtedy skinęłaś dłonią, prosząc bym Ci zagrał . . . I rozpyliły się tony mej fujarki brzezinowej — rozprószyły kolorowymi odpryskami tęczy, kroplami perełek osiadły na srebrzystych zwierciadłach, aby po chwili spaść na posadzkę i zakwitnąć purpurowymi różami. Pokryły tedy kwiaty kobiercem białe mozaiki Twych komnat, aż poszumy fletni zgasły, znikły, stopniały . . . ja zaś z zwyczajnego pastuszka przeistoczyłem się w elfa pięknego i u stóp Twych usiadłszy baśń Ci jakąś szeptać zacząłem — równie czarodziejską jak Twój pałac . . .

Z przestrzeni zeszła noc. Selenowy blask księżyca zajrzał w półmrok pokoju, rozpłynął się na płytach zwierciadeł, zaś gwiazda szkarłatna, lśniąca wykwitła różą atłasową na cieplistych wargach kobiety.

Jerzy Eglicz

KALAMBURY

Poezja: Wytworna odpowiedź losowi za jego ciosy.

Zazdrość: Znaleźć na grobie męża obcy włos.

Dialog: Dwa monologi odbywające się w tym samym czasie.

Stacja węzłowa: Salon, gdzie lokomotywy zatrzymują się na pogawędkę.

Ujmująca — kobieta, która ujmuje sobie lat.

Inaczej: akuszer — przyrodnik.

Mieszkaniec doliny — doliniarz.

Żona szacha — szachownica.

Zwolennicy szacha — szachiści.

Sznur na którym skończył samobójca — naszyjnik.

Nudny człowiek — nudysta.

Oby więcej było kobiet o obfitym biuście! — zawołał właściciel sklepu z damskimi gorsetami.

A ja sobie stoję w kole — śpiewał stary, zepsuty już zegar umieszczony w kole z obrazków powieszonych na ścianie.

Nie chcę o tym słyszeć! — napisał głuchoniemy odpowiedź na pytanie wydrukowane na podsuniętej mu kartce.

Każdemu wolno kochać — pomyślała stara panna głaszcząc pieszczotliwie ulubionego kota.

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93. Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900



KĄCIK KARYKATURZYSTY



— Jestem biedny... nieszczęśliwy... proszę o parę groszy...
— Państwa nie ma w domu, proszę przyjść po 5-tej godzinie.
— Ba, kiedy ja „pracuję" tylko do 4-tej.

Rys.: Jan Warzyszkiewicz — Kraków.

Teofil jest strasznie nieśmiałym. Razu pewnego zdecydował się oświadczyć panience, w której się już od dłuższego czasu kochał. I zaczął swe oświadczyny słowami: — Panno Elu, już od pięciu lat kocham panią.

— Niemożliwe! Czy mam panu wyznaczyć może za to emeryturę?

•

— Pańską twarz już gdzieś widziałem.
— Niemożliwe, od urodzenia noszę ją na tym samym miejscu.

•

— Coście nabyli za 10.000 złotych, które twoja siostra wygrała?
— Szwagra.

SZACHY

KĄCIK SZACHOWY NR. 24

Problem Nr. 17

O. Kunze (Die Schwalbe 1938)

Czarne: Ke5, Hg3, Wb3, Gg1, Sa3 i e3, piony: b6, g4 (8)
Białe: Kb3, Hh2, Wc8, Gb7 i e7, Sb2 i e6, piony: b5, d3, d5, e4, f5 (12)
3-chodówka: 12 8 20.
Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie studium Nr. 4 (Kubbel):

1. G—b6 c×b6 2. a7 G×a7 3. S—d6 (grozi 4. S—b7 i S×e8) We—b8 4. K—a3! i mat w nast. ruchu.

Partia Nr. 23.

Białe: Bogoljubow — Czarne: Junge
grana w turnieju 6 mistrzów w Salzburgu w r. 1942.

Gambit hetmana.

1. Sg1—f3 d7—d5	16. Hd5—e4 Sd7—f6
2. d2—d4 Sg6—f6	17. He4—c2 e5×d4
3. c2—c4 c7—c6	18. Wf1—d1! d4×e3
4. e2—e3 Gc8—f5	19. Gd2×e3 Sf6×d5[5])
5. c4×d5 c6×d5	20. Ge2—d3 g7—g6[6])
6. Sb1—c3 e7—e6	21. Ge3—h6 Wf8—e8
7. Hd1—b3[1]) Hd8—c8	22. Gd3—e4 Ge7—f8[7])
8. Gc1—d2[2]) Sb8—c6	23. Gh6×f8 Kg8×f8[8])
9. Wa1—c1 Sf8—d7	24. Sa4—c3 Sc6—e7
10. Sc3—a4 Gf8—e7	25. Ge4×d5 Sc6×d5
11. Gf1—e2 0—0	26. Sc3×d5 Wa8—c8[9])
12. 0—0 Wa8—b8	27. Sd5—c7 Hd8—e7
13. a2—a3 Hc8—d8	28. Sc7×e6+ He7×e6
14. Hb3—a2![3]) e6—e5[4])	29. Hc2—d2
15. Ha2×d5 Gf5—e6	Czarne poddały się.[10])

Uwagi:

1) W partii XI pojedynku Aljechin—Euwe (1935) nastąpiło tu: 7. S—e5 Sf—d7! 8. H—b3 H—c8 9. G—d2 S—c6 10. Wa—c1 S×e5 11. d×e5 G—e7 12. G—e2 0—0 13. S—b5 14. 0—0 i teraz mogły czarne wyrównać grę, grając: 14... Wf—c8!

2) Tak grał Bogoljubow w partii pojedynku z Euwem w r. 1925.

3) Grożąc b2—b4—b5 lub po b4 wtargnięciem skoczka na c5.

4) Próba uzyskania w kontrataku. Bogoljubow wykazuje bezowocność tych wysiłków.

5) Czarne stały już niekorzystnie, lecz po tym ruchu nie mogą już więcej utrzymać partii. W razie 19... H—e8 nastąpiłoby 20. S—c5, jeśli zaś 19... H—c7 to 20. Sf—d4.

6) Jeszcze słabsze szanse dawało: 20... S×e3 21. G×h7 K—h8 22. W×d8 S×c2 23. W×b8 W×b8 24. G×c2.

7) Robi miejsce dla skoczka.

8) Teraz jest już obojętnym, co czarne zagrają. Po 23... W×f8 24. S—c3 Sc—e7 25. G×d5 S×d5 (...G×d5 26. S×d5 S×d5 27. H—b3) 26. S×d5 G×d5 rozstrzyga zadaniowe posunięcie 27. H—b1!!, gdyż na groźby zdwojenia wież na linii d i zdobycia figury nie ma ratunku.

9) 26... G×d5?? 25. H—c5 wygrywa.

10) Bogoljubow grał w Salzburgu w pierwszym kole świetnie — partie jego z tego okresu odznaczają się głębokim założeniem i siłą — szkoda, że w drugim kole zawiódł zupełnie, odpadając na przedostatnie miejsce.

— Moja droga życzę ci z całego serca tego wszystkiego, czego ty mnie życzysz!
— Zawsze wiedziałam, że jesteś wstrętną babą.

•

— Jak się ma pańskie dziecko?
— Ma kłopoty pieniężne.
— Co, czy być może! W jego wieku!
— Połknęło złotego.

•

On: — Niech pani do mnie przyjdzie i niczego się nie obawia...
Ona: — Więc po co mam przyjść?

•

Do banku zgłasza się klient.
— Czy zastaję pana dyrektora?
— Niestety. Proszę zostawić swój bilet wizytowy, a zamelduję pana, gdy pan dyrektor będzie wychodził...
— A kiedy wyjdzie?
— Za dwa lata, proszę pana...

•

— Wiesz, mój krawiec daje mi 20 proc. opustu pod warunkiem, bym wszystkim rozpowiadał, że się u niego ubieram.
— To nic! Mój dał mi 50 proc. pod warunkiem, bym go nie polecał kolegom.

•

Pewien astrolog-chiromanta taką dał na pytanie listowną odpowiedź:
„Jeśli zdradzam tajemnicę, że wkrótce zginie pan gwałtowną śmiercią, to czynię to jedynie przez grzeczność, gdyż nie dołączył pan do listu 1 złotego w znaczkach pocztowych."

•

— Dlaczegoś taki smutny?
— Wyobraź sobie, napisałem do ojca list o pieniądze na zapłacenie czesnego i dzisiaj otrzymałem od niego pokwitowanie za wpłaconą taksę.

•

— Dlaczego ciociu się malujesz?
— Żeby wyglądać ładniej, Janeczko.
— A dlaczego nie wyglądasz ładniej?

•

Pewien Szkot bawi z żoną w Chicago. Idąc główną ulicą, przystaje przed wystawą restauracji i czyta następujące ogłoszenie: „Obiad od godziny 12—3, 50 centów".
— Wejdźmy — powiada do żony — obiad za 50 centów, który trwa trzy godziny, to nie lada gratka.

•

— Wiesz mamusiu — powiada 8-letnia Halinka — tatuś, to bardzo dziwny.
— No?
— Mnie nazywa dużą dziewczynką, a naszą pokojówkę „małą koteczką".

•

— Prawda Jasiu, że po wakacjach będziesz zawsze pierwszy w szkole?
— Naturalnie mamusiu, o ile tylko będę dość wcześnie wychodził z domu.

•

Żona zasiada do gry w karty z mężem.
— O co będziemy grać?
— O co chcesz moja droga.
— Doskonale, grajmy o nowy zimowy płaszcz. Jeśli przegrasz wyszukam go sobie sama, jeśli wygrasz, to ty mi go wybierzesz.

•

— Człowieku tak źle wyglądasz, straszliwie jesteś blady.
— Nic dziwnego od trzech miesięcy po raz pierwszy wyszedłem.
— Cóż ci brakowało?
— Dwa tysiące złotych, które z kasy wziąłem.

ŚWINIA NIE WINNA

— Na nasze srebrne wesele — Marcinie —
Powinieneś zarżnąć tłustą świnię.
— A uchowaj Boże, bym ją ubił.
Cóż winna świnia, żem ciebie poślubił!

DOWCIPNA ODPOWIEDŹ

Że jest ciekawy, z tego Jana znają...
Raz, widząc kondukt pogrzebowy
Przechodnia zagadnął:
Czy nie wie pan może, kogo to chowają?
Dokładnie nie wiem, odparł przechodzień rozumnie
Lecz zdaje mi się, że tego tam w trumnie!

TEGO JESZCZE NIE MA!

Jest telegraf bez drutu, są wozy bez koni
Jest samolot bez śmigła, są gazy bez woni.
Lecz dlaczegóż nie ma, wołam zrozpaczony —
Posagu bez żony!

Z. Podkowski

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

— Wczoraj byłam sama w domu z mymi myślami!
— Mój Boże, to musiała pani czuć się bardzo samotna!

•

— Jakie drzewo najlepiej się pali? — pyta nauczyciel.
— Zapałka — odpowiadają chórem dzieci.

•

— No, tak on myśli się ożenić.
— Myśli, myśli... Mężczyzna, który myśli — nigdy się nie żeni...



— Jeszcze masz teraz tylko dziesięć włosów na głowie. Dziś rano było ich jedenaście. Widocznie podarowałeś już jeden tak jakiejś kobiecie...

Hemmets Journal. Malmö



Wierszokleta pisze: „...Twarz jej stała się blada jak prześcieradło... (wtem spojrzał na swoje łóżko) ..tak, nawet jeszcze bledsza".

Die Grune Post.



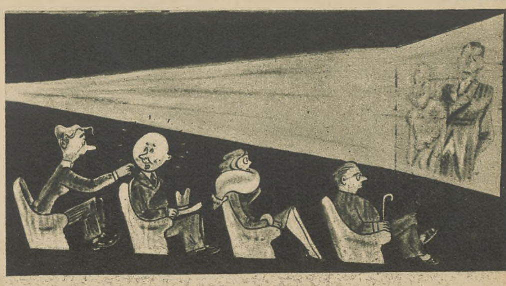
— Świetnie pani w tym kapeluszu, zakrywa niemal całą twarz.

Panama, Holland.



Delikatna propozycja damy palącej papierosy.

Die Woche.



— Może pan będzie łaskaw włożyć kapelusz — pańska łysina po prostu oślepia.

Kölnische Illustrierte Zeitung.



„PASTERZ W GÓRACH"
Fragment obrazu olejnego Rudolfa Otto. Obraz ten wywiera silne wrażenie przez harmonijne współdziałanie linii, formy i barwy.





„JUTRZENKA"
Grupa rzeźbiona przez Roberta Ullmanna; wyróżnia się zarówno pięknem rytmu, jak i doskonałym opanowaniem kształtów ludzkiej postaci.

WIELKA NIEMIECKA WYSTAWA SZTUKI W MONACHIUM 1943 ROK

Powyżej: **„IKAR"**
Obraz olejny Herberta Kampfa. Obraz o klasycznej czystości kompozycji.



Na lewo: **„WOJOWNICY"** Obraz olejny pędzla Rudolfa Lipusa. Jeden z wielu obrazów znajdujących się na wystawie, których treścią są wielkie aktualne wydarzenia obecnych czasów.

Na prawo: **„SOBOTNI WIECZÓR"** Obraz olejny Juliusza Paula Junghannsa. Oświetlenie podkreśla spokój, którym nasiąknięty jest pejzaż.

Fot.: Atl. 1
PBZ. 3
Scherl 1

